

Adrian Sinkowski: Poezja obywatelska

Czy wyobrażamy sobie dyskusję na temat Smoleńska, w której nie jest się ani „za”, ani „przeciw”, gdy zamiast stanąć po jednej lub drugiej stronie, stoi się po stronie własnej?



Czy wyobrażamy sobie dyskusję na temat Smoleńska, w której nie jest się ani „za”, ani „przeciw”, gdy zamiast stanąć po jednej lub drugiej stronie, stoi się po stronie własnej?

Nie jest to poezja, którą najbardziej lubię. Raczej zwięzła, pisana symboliczną niekiedy frazą, stroniąca od opisu. Co gorsza – i to nie do końca jest „moją bajką” – autor "Dwunastu dni" skwapliwie nadstawia ucha, aby być na bieżąco ze wszystkim, o czym piszą i mówią codziennie media. Dlatego długo nie mogąc znaleźć punktu, którego w trakcie lektury "Dwunastu dni" mógłbym się złapać, pomysł omówienia tomiku Janusza Drzewuckiego miałem ochotę porzucić. A gdyby

żadnego punktu w nim nie było? Albo tym punktem było wiele innych?
Tak wiele, że wydają się niewidoczne.

Po pierwsze: ludzie. Bohaterami wierszy Drzewuckiego są zmarli: Jerzy Lisowski, Ziemowit Feddecki, Henryk Bereza, a szczególnie ciekawa na ich tle jest pani Olimpia, mająca naprawdę na imię Adela, pracująca po wojnie w Czytelniku: „Znaliśmy ją długo, niektórzy z nas nawet / bardzo długo, ale dopiero gdy zmarła / zorientowaliśmy się, że wiemy o niej / tak mało”. Malował ją Jan Młodożeniec, witał się z nią Tadeusz Konwicki, Leopold Tyrmand sportretował ją na kartach "Złego", z Markiem Hłaską łączyła ją serdeczna przyjaźń.

Naturalnie można powiedzieć, że Drzewucki żegna się z nimi i to żegna w sposób dla nas ciekawy – uchyla przecież drzwi, które bywają szczelnie zamknięte – ale jest to raczej próba dokończenia rozmowy. Owszem: „nie zdążyliśmy / przecież powiedzieć jej tego, co chcieliśmy”, dlatego Drzewucki odświeża pamięć i mimo że zły na siebie, w końcu pomimo wielu znaków śmierć Olimpii Grochowskiej szczerze go zaskoczyła, z wrażliwością buchaltera utrwala w pamięci cenne historie i stara się im nadać ciąg dalszy. Jak to, że Lisowskiego nazwał zdrobniale Lisem dopiero gdy ten umarł. To samo echo pobrzmiewa w utworze "Podzwonne dla Mariana":

*Widzę go jak idzie ulicą Wiejską,
dostojnie i uroczyście; ubrany w jasną
płócienną marynarkę, w kapeluszu,
z laską, jak bohater sztuki Czechowa;
stylizował się nieco na starego poetę,
zupełnie niepotrzebnie, choć trzeba
przyznać, że było mu z tym do twarzy.
(...) we wprowadzeniu do moich
„Wierszy wybranych” dziwił się, dlaczego*

*dotąd nie napisałem wiersza o ulicy
Wiejskiej. Napiszę, jeszcze napiszę.*

To o Marianie Grześczaku. Kunszt, prostota, a dodatkowo światło, w którego blasku z powodzeniem można się ogrzać – chyba nikt nie zaprzeczy, tak często brakuje go wierszom, i to przecież nie wyłącznie tym pisany współcześnie. Niech nas jednak nie zwiodą elegancka fraza ani precyzja języka, owo światło kieruje się w wiele stron naraz, tyle jest w nim bowiem „kawioru”, ile „bigosu”, że przywołam fragment wiersza dedykowanego Jerzemu Lisowskiemu.

*Jadąc do Paryża, wracał do Francji, jadąc
do Warszawy, wracał do Polski, i tu, i tam,
a raczej: i tu, i tu był u siebie. Namiętnie palił
papierosy, a kiedy rzucił palenie, nie palił
równie namiętnie, lubił czerwone wino, ostrygi,
kawior, oliwki, ale także kaszankę w cebuli,
bigos, golonkę i czystą wódkę. Uwielbiał grać
w brydża, błagał, żebym wreszcie nauczył się
tej gry, zawsze przecież brakowało czwartego.*

Rzecz w tym, że poeta tocząc zajmująco i dowcipnie, choć zawsze na serio, opowieść o sprawach tak osobistych, wydaje się, że jest o krok od przejścia z czytelnikiem na ty. W tym samym wierszu o Lisowskim stwierdza: „Skłonny do żartu / zawsze uśmiechnięty, łatwo przechodził na ty”. Sugestia? Drzewucki bardziej niż kumplem jest mimo wszystko aktorem, a miejsce dla czytelnika jest miejscem na widowni, nawet jeśli parę razy zdarza się nam zajrzeć za kulisy. Trochę to przewrotne na pierwszy rzut oka, ale trzeba poecie oddać, że doskonale skrojone – jakbyśmy naprawdę siedzieli z Drzewuckim na piwie, w komitywie podrzucając sobie raz to, raz tamto. Jakby poeta pokazywał na krzesło: „Brakuje czwartego do brydża. Zagramy?”.

Po drugie: sport. Jest on dla Drzewuckiego doskonałym pomocnikiem, wręcz kalendarium, bo dzięki niemu wiele sytuacji, które gdzieś by uleciały z pamięci, trwają dalej wyraziste, jak spotkanie z Lisowskim w trakcie meczu z Francją w 1995 roku. Albo powolne, z dnia na dzień, odchodzenie Henryka Berezy, od przewiezienia do szpitala do pogrzebu na Powązkach, gdy każda informacja o stanie jego zdrowia pojawia się w wierszu na tle komentarza do meczu, który akurat tego dnia rozgrywano w trakcie Euro 2012. Innym razem kończy się olimpiada w Atenach, na ulicach Belgradu czuć, że zbliżają się derby, w których wyjdą naprzeciw sobie Crvena Zvezda i Partizan. Jeszcze innym razem podmiot w głębi ducha żałuje, że będąc w Budapeszcie, wylądował na trybunach Honvedu, choć w tym samym czasie grał Ferencvaros.

No właśnie: naprawdę żałuje? Jeśli istnieje rama, którą daje się nałożyć tym wierszom, a nie jest to – o czym pisałem na wstępie – ani łatwe, ani wcale nie musi specjalnie pomóc nam w lekturze tomiku, będzie nią zdanie: „niech się dzieje co chce”. Pogodzenie ze światem, oddanie się życiu w objęcia, branie je w ręce tam, gdzie daje się ono pochwycić. Oczywiście nie bez odcinania się czasem od niego i od siebie, w końcu dopadają nas chwile, w których opadamy z sił: „tak naprawdę nie mogę / już żyć tak, jak żyłem”. Niedługo potem przychodzi moment otrzeźwienia i zebrania się w sobie, żadnego biadolenia, po prostu „nie miałem innego / wyjścia jak tylko / iść przed siebie”.

Mówi nam to sporo o człowieku, który to pisał, znacznie już mniej o samych wierszach, przez które, tak jak przez życie, można płynąć jak rzeka. Miarowo, rytmicznie, niewzruszenie i nieodwołalnie. W ten oto sposób z "Dwunastu dni" łatwo zrobić banalną pochwałę trwania bez trosk, którą tomik nie jest. Zbyt dużo tu pytań bez odpowiedzi, zbyt dużo historii, które kończą się nagle i bez happy endu. Zresztą dla samego autora akt pisania, nieodwracalnie konieczny i jakoś tam

pevien, pozostaje tajemnicą, zwłaszcza gdy zaczyna się pisać tak intensywnie, jak nigdy być może się nie pisało. Inaczej rzecz ujmując, pewne jest to, że trzeba iść naprzód, ale co wyjdzie nam naprzeciw – oto tajemnica.

Po trzecie: zamiana jednego miejsca na inne. Kluczowa nie jest tu jednak zamiana, lecz miejsce albo – miejsca. Znamienne, że podmiot nowy rok zaczyna od obietnic, które bez wyjątku dotyczą odwiedzenia tego lub innego miasta. Dlatego ze sportu i tak samo z miejsc, które poznał, poeta buduje punkt wyjścia, punkt oparcia, zresztą niezupełnie można patrzeć na nie jak na punkt constans – znajomi z Budapesztu gdzieś zniknęli, świat zmienia ubiór na bardziej krzykliwy. „Tamten” świat osuwa się w niebyt. Truizm? A to, że człowiek osuwa się razem z nim: „moje ślady przykrył / piasek, rozmył deszcz, / rozwiął wiatr”. Spróbujmy spojrzeć na sprawę tak: skoro Bóg czy wielka literatura stale są deprecjonowani, wręcz unicestwiani, poeta w ich miejsce potrzebuje nowego składnika i są nim miejsca. Są jak siatka kartograficzna albo lepiej kompas, pozwalają ludziom przeglądać się w sobie jak w lustrze nie po to jednak, aby patrzeć wstecz, lecz aby zrozumieć, kim jest się dzisiaj.

Po czwarte: Polska, tyle że są tutaj dwie Polski – Polska A i Polska B. Polska mała, lokalna, cicha, a także Polska, która wylega na ulicę i maszeruje w pochodach. Co sugeruje nam zdanie otwierające tomik „Przyjedź wreszcie do Polski”, w którym poeta zwraca się bodaj do Litwy, aby nie zwlekała dłużej z przyjazdem? Aha – powiedzą jedni – Litwa, inwokacja, dwanaście dni to prawie jak dwanaście ksiąg, czyli nawiązanie do dzieła wieszczą. I będzie w tym, prawdę mówiąc, wiele na rzeczy, mimo to równie ciekawa wydaje się odpowiedź, że Polsce potrzeba czegoś spoza Polski, co ją wypełni, uzupełni, doda jej kształtu.

Polską B jest Pelplin, rynek w Starym Sączu, Kruszwica, podmiot ma w

planach podróży do Oblęgorka, Iłży, Bałamątki. Na drugim końcu tej listy jest Warszawa. Miasto w lepkich spalinach, pogrążone w samotności, wijące się z bólu. Gdy bohater "Dwunastu dni" wraca ze wsi, w odróżnieniu od ścian drewnianych, które były ukojeniem, od białych ścian w mieszkaniu bołą go oczy. Wśród potłuczonych butelek po szampanie, między ludźmi, którym wydaje się, że cała Polska należy do nich, gdzieś na drodze od placu Trzech Krzyży do Krakowskiego Przedmieścia można przekonać się na własne oczy, czym jest święto flagi albo jak głośne bywają pochody pod pałacem prezydenckim. Czy autor od nich ucieka? Skąd, on na swój sposób się z nimi mociuje, uważnie ich podgląda, stwierdza nawet mimo lęku i poczucia odosobnienia, że ludzie mają prawo, aby iść w tłumie, wyzywać się i walczyć o „swoje”. A stąd bardzo niedaleko, aby nazwać Drzewuckiego poetą zaangażowanym, choć on sam, pewnie i tak niechętnie, wolałby określenie „poeta obywatelski”.

Tym określenie nie chcę Drzewuckiemu przynieść ujmy. Wprost odwrotnie, od poezji, od literatury w ogóle, często oczekuje się „uścisku z teraźniejszością”. Zaskakujące jest jednak to, jakie poeta zajmuje stanowisko – bo niech każdy uczciwie się przyzna, czy wyobrażamy sobie dyskusję na temat Smoleńska, w której nie jest się ani „za”, ani „przeciw”, gdy zamiast stanąć po jednej lub drugiej stronie stoi się po stronie własnej. Samemu, a jednak razem. Z dala, ale blisko. Idąc odruchowo pod pałac w dniu tragedii, ale już nie maszerując w pochodach, których inicjatorami są politycy. Taka obywatelskość wydaje się mało wyrazista, trochę nijaka lub miałka. To zresztą spore zaskoczenie, bo Drzewucki, człowiek o oku dziennikarza, jest od dziennikarskiej retoryki całkowicie wolny. Taka obywatelskość nie szuka na siłę sprzymierzeńców, jest – albo bywa – głosem do wewnątrz, nie na zewnątrz, dokładnie jak ma to miejsce z poezją.

Aż trudno uwierzyć, że od ostatniego tomiku Drzewuckiego upłynęło

piętnaście lat. Poeta w polskim życiu literackim obecny jest od 1983 roku: jako krytyk, felietonista, redaktor i dziennikarz, znany głównie z pracy w Czytelniku i „Twórczości”, a zabranie mniejszych, wcale nie mniej istotnych aktywności pewnie samemu Drzewuckiemu mogłoby przysporzyć sporo trudności. Pytanie nasuwa się samo: dlaczego tomiku "Dwanaście dni" nie okrzyknięto choćby na wyrost – jak krytyka miewa w zwyczaju – wydarzeniem albo literacką sensacją? Snując wokół książki opowieść, że oto na naszych oczach dokonał się come back autora o tylu ciekawych twarzach?

To w końcu o tyle dziwne, że żaden wiersz na temat Smoleńska nie przeszedł bez echa, nawet boleśnie ironiczny lub skrajnie, by nie powiedzieć „trumiennie”, patetyczny. A tutaj: „zapadła czarna / cisza”. Coś w tym jest, bo Drzewucki z tematu Smoleńska nie robi igrzyska z widownią w tle. Mimo że „jesteśmy razem, my / wszyscy, w tej godzinie jesteśmy / razem”, po kilku dniach odpuszcza, wyłącza radio i telewizor, mówi szeptem. Pewnie nie tak, jak by tego oczekiwali konserwatyści, ale i nie tak, aby „druga strona”, w zasadzie jakakolwiek strona chciała go w ogóle usłyszeć. Ciekawe, prawda?

Wiesław Myśliwski stwierdził kiedyś, że „pisać książki powinno się dopiero, gdy człowiek naprawdę czuje, że nie ma już żadnego innego wyjścia”. Drzewucki nie jest zakładnikiem literatury, on zaledwie bywa poetą. Zajęcia, którym autor "Dwunastu dni" oddaje się bez reszty i nieustannie, to podglądanie świata, nazywanie go od nowa, jakby świat, nie autor, stale był w ruchu. W recenzji na łamach „Rzeczpospolitej” napisano, że Drzewucki „robi” poezję z okruchów codzienności, nawet ze spaceru pod mostem, ale trzeba od razu dodać, że poeta nie szuka ich na siłę. Okruchy same go dopadają – niesione wiatrem z miejsca na miejsce, słabo widoczne, będące resztą większej całości.

Nie wiem, na ile świadomie, lecz Jacek Marczyński metaforą okruchów

trafił w sedno. Idea, która patronuje wierszom Drzewuckiego, jest bowiem prosta, tak prosta, że łatwo ją zgubić z oczu. Rzeczy wielkie – zdaje się mówić poeta – to w istocie wiele rzeczy mniejszych, często banalnie prostych, którymi nikt się nie interesuje. Okładka "Dwunastu dni" przedstawia fotografię wykonaną przez samego autora. Widzimy na niej gołębie, bodaj marmurowe sklepienie, staranne wykończenia, ścianę – osobno są prawie niedostrzegalne, razem przykuwają uwagę. Drzewucki zostawia nas w ten sposób z pytaniem: czy widzimy poezję, która jest wokół nas? Widzisz ją? Czy ją widzę? Jeśli nie, spójrz tam, gdzie nikt się jej nie spodziewa.

Adrian Sinkowski

[Janusz Drzewucki, „Dwanaście dni”, Warszawa 2013]

Tekst ukazał się w kwartalniku literackim "Wyspa" 2013, nr 3.